

Wychodzi co niedzielę jako bezpłatny dodatek do dziennika »Głos Narodu«.

Przedpłata na sam »Głos literacki i społeczny« wynosi rocznie 8 koron, półrocznie 4 korony, kwartalnie 2 korony

Redaktor kierujący: KAZ. EHRENBERG. Redakcya i Administracya: Garbarska nr. 7. Telefon nr. 309. Sekretarz Redakcyi: WITOLD NOSKOWSKI

Nr. 12 Kraków, dnia 24. marca. 1901.

IGNACY KRASICKI.

D. 14 marca 1801 r. umarł w Berlinie człowiek, którego zasługi literackie i osobiste długi czas wahały się w umysłach ludzi tak współczesnych, jak i potomności, zanim znalazły sąd bezstronny i sprawiedliwy.

Jedni w uwielbieniu bezwzględnem uważali Krasickiego poprostu za geniusza, drudzy oskarżali go o brak uczuć społecznych i religijnych. Sąd nasz, wyrobiony i przetrawiony latami, może stwierdzić, że tak jedni, jak drudzy nie mieli racyi.

Krasicki, kierujący się horacyuszowską maksymą *ne quid nimis,* posiadał umysł bystry, trzeźwy i spostrzegawczy, ale jak na geniusza, za mało głęboki. Z usposobienia łagodny, wrażliwy i nie namiętny, nie może być sądzonym apodyktycznie, bez wzięcia pod uwagę rodzaju jego talentu i natury jego charakteru.

Pragnąc sądzić go sprawiedliwie, trzeba rozważyć i czasy w których żył i wychowanie, jakie odebrał, a także i te postronne wpływy, którym młody jego umysł podlegał.

„Ty, co dowcipem, gładkością myślenia
Bawiąc -- nauczasz, smucąc się — poprawiasz
Winne ci muzy polskie zadziwienia,
Sam sobie w dziełach nieśmiertelność stawiasz,
Aleś zbyt trudny do naśladowania...“

Włodzimierz Tetmajer: Sceny z „Zawiszy Czarnego“.



Rozmowa księcia Felsburga z księdzem Barberem.

Taką apostrofą nieznany autor XVIII go wieku zaczyna swoje wierszowane strofy, opisując Krasickiego. Od tego jednakże czasu aż do roku 1856, w którym Bartoszewicz pierwszy zaczął pisać o Krasickim, zalegało o nim w literaturze milczenie, przerywane od czasu do czasu słowami uznania i zachwytu Brodzińskiego lub którego z wileńskich profesorów. Głosy te milkły jednak, nie oparte, ani podtrzymane gruntowniejszą znajomością tak prac, jak i życia autora. Za Bartoszewiczem wziął się do opracowania tego samego przedmiotu Kraszewski, umieszczając w „Athenaeum“ swoje studya, czerpane z korespondencyi własnej biskupa warmińskiego.

Były to pierwsze prace, zaznajamiające późniejsze pokolenie bliżej z dziełami i życiem autora „Monachomachii.“ Mówimy bliżej, ale nie zupełnie jeszcze, gdyż do dziś dnia, pomimo prac Piotra Chmielowskiego i Stanisława Tarnowskiego, nie mamy wyczerpującego życiorysu Krasickiego. Znamy mniej więcej daty jego wyjazdu zagranicę do Rzymu i Francyi, ale nie wiemy dokładnie, jak długo tam bawił, w jakich celach i jakie ztamtąd odniósł wrażenia.

Z korespondencyi z Salezym Potockim, owym sławnym królikiem Rusi, teściem nieszczęśliwej Gertrudy Komorowskiej (którego Krasiccy byli stronnikami przez związki krwi i bieg wypadków), dowiadujemy się, że młody, układny, do stanu duchownego od dzieciństwa przeznaczony młodzieniec bywał rozrzutnym tak dalece, że niejednokrotnie zasługiwał na napomnienia potężnego protektora.

Z listów, pisanych przez Stanisława Poniatowskiego do pani Geoffrin (osoby podówczas bardzo u dworu francuskiego znanej i cenionej) dowiadujemy się o nadziejach, jakie król pokładał w człowieku, specyalnie jemu zawdzięczającym swoje wczesne bardzo i szybkie wyniesienie.

Król pisze co następuje: „Minet jest dziś bogatym, a szczęściu jego publiczność przyklaskuje. Wiesz, że twarz ma piękną, twarz ta wyraża radość, a ja go uczyniłem szczęśliwym. Pomyśl, czy mi na niego spoglądać miło.“

Krasicki, nazwany Minetem, zawiódł pokładane w sobie królewskie nadzieje. Nie nadawał się on bowiem do dyplomatycznych celów, jakie mu powierzone być miały. Hojny, bogaty, wspaniały, elegancki, otoczony licznym dworem, pisał, czytał, układał dowcipne satyry, bawił się, ale o odwdzięczeniu się królowi za odebrane łaski w sposób, jakiego sobie Stanisław August życzył, nie myślał wcale.

To też w następnym liście, pisanym do pani Geoffrin, król wyraża obawę, aby „ten Minet tak miły, dowcipny, pilny,“ który mu tyle winien, nie stał się próżniakiem, nie dbającym o nic i nikogo, tylko o swe własne przyjemności i lenistwo swoje. „Przykro mi - dodaje król — że mam pewne poszlaki, które zdają się to stwierdzać.“

W „Myszeidzie“ pomiędzy dowcipnemi strofami, pomieszcza Krasicki wiersz o miłości ojczyzny, który w swym czasie mógł uchodzić za najpiękniejszy, za najwznioślejszy ton w harmonii poetycznych akordów. A że za taki uchodził, dowodem nakaz, aby młodzież szkoły kadetów uczyła się go na pamięć wraz z katechizmem, przepisanym dla uczniów.

Pomimo całej pogody umysłu, nie lubiącego ani zagłębiać się zbytnio, ani zbyt żywo brać do serca tak wypadków chwili, jak i ułomności ludzkich, były jednak kwestye, które wydobywały z piersi poety żywsze i głębszej natury słowa. Los uciskanych poddanych, zepsucie obyczajów, oraz działanie Ponińskiego i całej jego niecnej kliki podczas sejmu 1788 r., oburzały Krasickiego. Polepszenie losu poddanych, dobre traktowanie sług zaleca on w „Panu Podstolim,“ a w satyrze p. t. „Pan nie wart sługi“ daje wyraz słusznego oburzenia na niegodne, nieludzkie postępowanie z podwładnymi.

W „Monachomachii“ rozwinął do najwyższej rozciągłości myśl, wyrażoną i skupioną w tym jednym, zamieszczonym w niej, wierszu:

„Minęły czasy szczęśliwej prostoty,
Trzeba się uczyć — upłynął wiek złoty.“

Poemat ten brano za złe Krasickiemu, twierdząc, że zamiast wyśmiewania i ironicznych dowcipów, ksiądz biskup powinien się był wziąć do reform klasztorów, co jednak było niemożliwem, gdyż duchowieństwo zakonne nie podlegało władzy świeckich biskupów. Bezwątpienia, wobec warunków chwili, nie było ani taktownie ani właściwie ze strony Krasickiego odkrywać przed obcymi całą nędzę umysłową instytucyi szanowanej i wielce zasłużonej. Ale dla usprawiedliwienia Krasickiego, trzeba wziąć pod uwagę, że to był przedewszystkiem autor, który musiał i mógł czuć doskonale, że „Monachomachia“ mu się udała, i to udała znakomicie; co do formy, rymu, treści dowcipnie opowiadanej — wszystko w niej Krasickiego, jako autora, zadowolić mogło. Miałże pomimo tego odmówić sobie przyjemności przeczytania tych zwrotek swemu koronowanemu przyjacielowi, Fryderykowi Wielkiemu, który wskazując mu gościnne pokoje w Sans-Souci,życzył, aby go owionął duch Voltaire'a. Byłoby to zbyt wielkie wymaganie dla człowieka, nielubiącego zadawać sobie przymusu i biorącego życie swobodnie.

O ile jednakże napisanie „Walki Mnichów„ wzięto Krasickiemu za złe, dowodzi wiersz anonimowego współczesnego autora treści następującej:

Odkryłeś człowieczeństwo prawie aż do skóry,
Śmiać się każesz z pijaków, głupców przewielebnych,
Tymi gardzisz, których ja miałem za potrzebnych.
Sądziłem, że autorem duch był libertyński;
Zdziwiłem się, poznawszy, że biskup warmiński.

Zepsucie obyczajów, jakie podówczas w Polsce panowało, to trzecia kwestya, poruszająca głębiej autora. Wyraz swego oburzenia w następujących daje zwrotach:

Duchy przodków, nagrody cnót gdy używacie,
Na nasze gniazdo okiem jeżeli rzucacie,
Jeśli odgłos dzieł naszych was kiedy doleci,
Czyż możecie nas poznać, żeśmy wasze dzieci?
Jesteśmy — ale z gruntu skażeni, wyrodni!
Jesteśmy — ale tego nazwiska nie godni!

W pamflecie p. t. „Organy“, wydanym podczas sejmu 1788 roku, Krasicki bardzo chłodno, trzeźwo, bez entuzyazmu zapatruje się na rozgorączkowane umysły i działania.

Skład sejmowy porównywa do organów, w których każdy klawisz czyni swoją powinność stosownie do tego, jak zagra Lucchesini, organista.

Obwiniano Krasickiego o zbytnią tolerancyę religijną. Spowodowały ją zapewne szerokie poglądy, jakie musiał mieć człowiek tego co Krasicki wykształcenia. Że nie pochodziła ona z oziębłości w kwestyach wiary, mamy dowód w „Panu Podstolim,“ tym przykładzie wierzącego obywatela, gruntującego całe swe życie na głębokiej wierze. Człowiek przeciętny, a cóż dopiero duchowny, czy umiałby nadać książce takie cechy serdecznej wiary, nie zdradzającej nigdzie fałszywego tonu, gdyby to nie płynęło z jego własnych przekonań.

Nam, którzy mieliśmy czas głębiej wpatrzyć się w życie Krasickiego, w jego dzieła i ich pobudki, należy się w każdym razie w tę setną rocznicę nieść mu hołd wdzięczności. Wdzięczności za myśli piękne, światłe, humanitarne, prawdziwie kapłańskie, jakie pragnął wśród swoich szerzyć, za chłostanie biczem satyry wad ówczesnego społeczeństwa i za pragnienie przyswojenia naszej literaturze wszystkiego, czem szczyciły się kraje ościenne.

Czytając nieudaną „Henryadę“ Voltaire'a, Krasicki postanawia napisać „Wojnę Chocimską,“ która, chociaż najsłabsza z jego utworów, jednakże lepszą jest od wolterowskiej epopei.

Krasicki dziełami swemi stara się o szerzenie oświaty i zwalczenie zakorzenionych przesądów. Wydając w „Monitorze“ satyry, pisząc o rymotwórstwie i rymotwórcach, zawsze we wszystkiem pracuje w imię idei: „Fiat Lux!“ *O. K.*

Or — Ot.

Stare piosenki.

Cichy wieczór idzie zdala,
Senny wieczór zadumany,
Zachodniego światła fala
Zaczerwienia białe ściany.
W pokoiku na ustroni
Staroświeckie płyną zwrotki
I melodya stara dzwoni
W wieczorowej ciszy słodkiej.

8

MATCE RZECZYPOSPOLITEJ.

POWIEŚĆ MIESZCZAŃSKA.

Ze starych dokumentów wypisał LUDWIK STASIAK.

Ciąg dalszy.

Mówił on łykom:

— Dziś ostatni czas preponderancyą szlachty zrzucić, ostatni czas pozbyć się gwałcicieli, którzy nam przywileje królewskie wydarli. Czas ostatni powiedzieć im: rany na rany — wróćmy se barany.

— Ojciec mój — mówił jakiś stary górnik — pamięta że szlachcic zabijający mieszczanina w mieście, gardłem był karany. Dziś gdy go w mieście na rozboju, gwałcie lub wszelakiej zbrodni załapiem, idzie przed sądy starościńskie, gdzie przez palce na krzywdę łyków patrzą. Gdy sąd miejski mężobójcę ukarze, burmistrz i radcy dają gardło za to.

— Burmistrze i konsulowie nasi zasiadali w sejmikach, radząc zarówno z szlachtą o dobrze Rzeczypospolitej.

— A przecież to nasze dzieci dawały blask wielkiej szkole jagiellońskiej, a przecież mieszczański syn Kopernik okrył krakowską szkołę sławą.

— Klemens Janicki — rzekł pisarz gminny — to syn chłopa z pod Żnina.

— Wtrąciła szlachta do grobu króla Stefana, który nas mieszczan nobilitował, który bronił naszych przywilejów, który kotlarza Walentego Wasa szlachcicem uczynił.

— Dziś pergamin królewski jest martwem pismem, próżno się nim przed zbrodnią i gwałtem krzywdzicieli zasłaniać. Podeptano i zgwałcono nasze prawa.

— Szlachta z pospolitego ruszenia łupi skarbce miejskie, nie szanuje świątyń pańskich.

— Radziejowski Stawkę, rajcę miejskiego bykowcami obić kazał, ze skargi zaś do grodu wniesionej w kułak się śmieje.

— Krzywda nam się dzieje, krzywda.

— Otóż to! — rzekł gdański pisarz. — Otóż to bracia! Kto wam pomoże, jeźli wy sobie sami nie pomożecie? Toć teraz w rękach waszych szczęście wasze. Oto na Ukrainie przyszedł na ciemiężców sądny dzień, a Chmielnicki na grzbietach szlacheckich wyroki za krzywdy batogami wypisuje. Chłopi w Wiejkiejpolsce dają posłuch wysłannikom Chmiela, a miasta pruskie gotowe są do wybuchu. Oto Napierski powstał z góralskim ludem i wybiła godzina pomsty za krzywdy chłopstwa i mieszczaństwa. A gdybyśmy i my połączyli się z nimi i...

— Zamilcz Wasze! Stul pysk! Milczeć! wrzasło kilka radzieckich głosów.

— Bracia! — zawołał burmistrz — czy wam Bóg rozum odebrał? Krzywda wam się dzieje? Prawda! Pogwałcono nasze przywileje? Prawda! Ale, sławetni panowie, kto nam dał prawo do wymierzania sobie samym sprawiedliwości? Król bije się z Chmielnickim a kto z buntownikiem razem staje, ten jest wrogiem monarchy. A więc jego opuścić mamy i stanąć przeciw niemu? A z czyich to rąk pochodzą nasze przywileje, z czyich to łask miasta Rzeczypospolitej zakwitły? Dopokąd dobrze nam było, trzymaliśmy z królem, teraz nam źle, to mamy go zdradzić i do wrogich wstąpić szeregów? O, wierzajcie mi, jeśli w Rzeczypospolitej źle się dzieje, to równy gwałt się dzieje nam, chłopstwu i królowi... My wiecznie z nim razem, wiecznie mu wierni. Krzywda! Bóg jest mścicielem krzywd i Bóg nasze łzy policzy. My nigdy nie staniemy w szeregach zdrajców króla i sprzedawczyków ojczyzny. Niech to inni czynią. Ufajcie w Bogu. Jeśli prawdą jest, co na kazaniu mówił złotousty ksiądz Skarga, że kraj ten jak czerep przez grzech wyrodnych synów się rozleci, to odrodzi on się w naszych czystych sercach, zbudują go nasze czyste, niesplamione rabunkiem grosza publicznego ręce. Sławetni! kto dał pieniądze na szpital górników?

— Król Kazimierz.

— Kto kazał rajcom strawne ze skarbu żup płacić?

— A no król Zygmunt.

— Kto uprzywilejował sklepy i kupców bocheńskich?

— Król Stefan.

— A króla Jana Kazimierza zdradziecko luzem puścicie?

— Nigdy! Przenigdy!

— Zaczem ni przecz ni zacz tu przyszedłeś? zapytał gdańskiego pisarza podwójci.

— Zdrajca! — krzyknął ławnik — nim zaczął mówić, kazał dać półkufek piwa, żeby nas do swej roboty namówić!

Przybysz, widząc że się na burzę zanosi, wywinął się z piwnicy szczęśliwie, burmistrz zaś polecił drabom miejskim, aby na Gdańszczanina pilne mieli oko. Wkrótce przejęto jego listy, z których pokazało się iże ma porucześtwo od samego Chmiela, aby powstanie przeciw królowi w Małejpolsce wzniecić.

Jakoż zakuto go w kajdany i wrzucono w dolną wieżę, poczem burmistrz polecił katowi wyprowadzenie go za granicę przedmieść z ostrzeżeniem, że jeśli w mury miasta wróci, da gardło katu.

W niesmak poszedł ten wyrok miejskiemu katowi, Gdy w połowie drogi do Brzesk żelazka mu zdejmował, rzekł:

— Ciężkie czasy! Nic nie dałeś waćpan zarobić.

— A cóż wasze chciałeś?

— Za ścięcie waćpana byłbym dostał talara. Za odprowadzenie jeno tynfów dwadzieścia.

— Ja waszeci dam talara.

Kat popatrzył z podełba i rzekł:

— Ja mam w ręku uczciwe rzemiosło i od łotrów, zdradzających polskiego króla, pieniędzy nie przyjmuje.

* * *

Przecież miasto podupadało coraz bardziej:

Gdy Maciek Sroka wrócił do domu, zdziesiątkowało ludność morowe powietrze, grasujące tu w roku 1652. (D. c. n.).

Dziaduś brząka na gitarze,
Instrumencie z przed potopu,
Pogrążony w wspomnień czarze,
Łzawe oczy wzniósł do stropu.
A babunia srebrnobiała
W lot melodyi zawtórzyła:
„Czemuś oczki zapłakała?
Powiedz mi, kochanko miła!"

I piosenka mknie cichutka,
Anemiczna — wątła — blada,
Pachnie świeży bez z ogródka
I ćwierkają wróbli stada;
Gdzieś w oddali miasto dyszy,
Nieustannym swoim gwarem, —
Starej piosnki nie usłyszy,
Nie odświeży się jej czarem.
Dziaduś nogą przytupuje
I melodyę zmienia zwolna,
Już się ona żwawiej snuje,
Pół serdeczna, pół swawolna.
Babcia zwrotkę rozpoczyna,
Podchwyciła już:
„A dziewczyna, jak malina,
Niesie koszyk róż..."

W pokoiku jakoś jaśniej,
Jakoś rzeźwiej i weselej
I uroczo, jakby w baśni,
W staroświeckiej cichej celi.
Babcia wznosi głosik drżący,
O pół wieku odmłodzona,
Pod napływem krwi gorącej
Stare serce rwie się z łona.
Ej, kochanie! stare dzieje!
Nieprześnione dzieje stare!
We łzach oczy, twarz się śmieje,
Duch młodości wskrzesza marę,
I znowu dźwięk się rozlega miły
W izdebce cichym wieczorem:
„Już miesiąc zaszedł, psy się uśpiły
I ktoś tam klaszcze za borem..."

Zgasło słonko na lazurze,
Zgasły łuny na zachodzie,
Wschodzą złote gwiazdy duże.
Mocniej pachnie bez w ogrodzie;
Dziaduś tęskniej w struny brząka
I odmienia znowu granie,
Tony smutne, jak rozłąka,
Brzmią na rzewne pożegnanie.
Szumią w takcie drzew konary,
W takt spadają krople rosy
I zawtórzył dziaduś stary
Swojej babci siwowłosej:
„A kiedy odjeżdżasz,
Bądź-że zdrów,
O naszej przyjaźni
Dobrze mów!"

NA CZASIE.

Warszawa i Kraków cieszą się sławą »miast teatralnych«, to nie ulega żadnej wątpliwości. O Lwowie milczą pod tym względem dzieje i — słusznie, albowiem publiczność tamtejsza ulega łatwo czarom opery i... operetki, lecz dramat nie bardzo ją wzrusza.

Ale i »teatralność« obu pierwszych metropolij Polski różni się niemało w gatunku. Warszawa czci aktorów, Kraków autorów i w tem właśnie polega jego wyższość. Dziwnym wszakże zbiegiem okoliczności, scena warszawska ustępuje naszej nie tylko pod względem repertuaru (w czem i cenzura gra niemałą rolę) lecz nawet i pod względem sił wykonawczych. Widać, że kapuańska atmosfera syreniego grodu i rozpieszczanie aktorów nie wychodzi na dobre tym ostatnim. W Warszawie rozpanoszyło się teraz wirtuozostwo aktorskie w bardzo lichym gatunku; cały świat posunął się naprzód, lecz słynne ongi »Rozmaitości« stoją w miejscu. Nie pomogła transfuzya świeżej krwi w postaci świetnych nabytków z krakowskiego teatru, że wspomnę tylko o Śliwickim i Trapszównie: lokalne kolosiki królują w dalszym ciągu na piedestałach, utrwalonych cementem tradycyjnej sławy i podczas gdy wirtuozom dostają się uśmiechy losu — sztuka — czeka za kulisami, aż ją wpuszczą. Do tego czasu oczekiwanie jej jest daremne.

Jeżeli jednak krakowianie oddają hołdy samej władczyni, nie idzie wszakże zatem by nie umieli uszanować jej sług. Przeciwnie, nigdzie może indziej nie jest stosunek aktora do publiczności tak serdecznym i zażyłym, jak tutaj, w Krakowie. Warszawka jest kobietą na wskróś *modern* więc i zapały jej są nieco bałwochwalczo-histerycznej natury; sędziwy gród Kraka mniej się rzuca, mniej hałasuje, lecz uczucia jego są bodaj czy nie głębsze i szczersze. Tam bawią się aktorem jak lalką, tutaj go — szanują jako cenne zwierciadło, które odzruca widzom to, co utworzyła twórcza fantazya pisarza.

Dowodem prawdziwości słów moich był ostatnio jubileusz Sobiesława. Artysta ten, to krew z krwi i kość z kości krakowian, to też w dzień srebrnych godów ze sceną uczcili go, jak przystało. Były wieńce, kwiaty i podarki, były najmilsze ze wszystkiego dla serc prawdziwych artystów — oklaski, a nad wszystkiem unosiła się miła atmosfera szczerości i prawdziwego uznania. Było to prawdziwe święto teatralne, dzień, w którym Kraków czcił znakomitego artystę, sympatycznego człowieka i użytecznego członka społeczeństwa.

Bo gród podwawelski dalekim jest od sentymentalizowania aktorów; nie przez szkiełka chwilowego zapału patrzą się tutaj na członków miejskiej sceny. Teatr zdobył sobie w Krakowie wyraźne stanowisko instytucyi społecznej, stał się wprost potrzebą umysłową mieszkańców, a za tem poważnem ujęciem przeznaczenia teatru poszedł i odmienny stosunek publiczności do aktora. Tam gdzie teatr jest wskutek ograniczenia repertuaru miejscem, w którem się tylko zabija czas, tam publiczność szaleje za aktorem-wirtuozem. Wysoki poziom literacki naszej świątyni sztuki usuwa aktorów choćby najbardziej wybitnych na plan drugi; pierwszy jest zawsze zajęty przez autora Stąd też publiczność nasza zajmuje się aktorem nie jako jednostką, lecz jako członkiem poważnej instytucyi o wielkiem narodowem i kulturalnem znaczeniu. O ile spełnia dobrze poruczone mu zadanie, o ile stanowi pożyteczne kółko w machinie, o tyle też cieszy się większą lub mniejszą sympatyą.

Objawy szczerej a serdecznej życzliwości, jakich doznał we czwartek znakomity artysta, są dowodem, iż praca jego znalazła takie właśnie uznanie. Kraków uczcił w Sobiesławie przepyszny, szczery, polski talent, sumienną pracę i wierność naszemu teatrowi. Zapewne, gdyby Sobiesław udał był się na jakąś większą rozmiarami scenę, gdyby »wygrał się na gwiazdę« miałby może dziś majątek i sławę jeszcze większą niż ta, którą się tak słusznie cieszy. Wątpimy wszakże, czy w sercu jego zagościłoby kiedy uczucie, choć w części zbliżone do tego, jakiego doznał w ubiegły czwartek, do uczucia zadowolenia z chlubnie spełnionego obowiązku i przeświadczenia, że wytrwała jego praca pod hasłem prawdziwej sztuki, tak szczere, tak serdeczne, a tak zasłużone zyskała uznanie u wdzięcznej mu za tyle pięknych i prawdziwie podniosłych wrażeń publiczności. *Pertinax.*

WYSPA

przez François de Nion.

Falers wchodząc do pokoju kontradmirała zasalutował, następnie podszedł do biurka i stanął, wyprężywszy się jak struna.

Wzrok jego padł przez otwarte okna na daleki horyzont morza, nieco bliżej była zatoka, lśniąca od pancerzy pancerników i białych, wiatrem wzdętych żagli. Sennymi oczyma marzyciela gubił się Falers w białawych chmurkach i błądził po delikatnych zarysach lin i rejów trójmasztowca, który właśnie zabierał się do odpłynięcia. Widok wspaniałego statku obudził w nim wspomnienia chwil, przeżytych na żaglowcach w czasie niejednej długiej, pełnej niebezpieczeństw podróży na łasce fal i wichrów.

Z zadumy wyrwał go głos admirała:

— Wezwałem pana do siebie, poruczniku aby panu należycie zmyć głowę. Jestem przyjacielem pańskiego ojca, pana samego znam od lat dziecinnych: jest to jeszcze jedną dla mnie przyczyną, aby sąd mój o pańskiej działalności wypadł ostro, choć sprawiedliwie. Zanim wszakże przystąpimy do samej rzeczy, chciałbym jeszcze raz powtórzyć panu w oczy skargę, której jesteś przedmiotem. Tymczasem usiądź pan.

Kontradmirał położył koniec nożyka z kości słoniowej, którym właśnie rozcinał jakąś książkę, na starannie wygolonych wargach i spojrzał bystro w oczy młodemu oficerowi.

— A więc — zaczął po chwili — komendant statku „Juno", Raymond des Mureaux, zaniósł do mnie skargę na pana. Uważa on pana za sumiennego, dobrego oficera, ale dziwią go niektóre właściwości pańskiego charakteru, zwłaszcza zaś to, że pewnego razu omal że nie odmówiłeś mu posłuszeństwa.

Falers odpowiedział z zupełnym spokojem:

— Wiem dobrze o co idzie. Komendant wspominał panu pewnie o aferze z wyspą.

— Tak jest, a sprawa ta nie wydaje mi się bynajmniej tak niewinną, jak panu. To, co mi komendant zameldował, brzmiało mniej więcej jak następuje: 25 września wysłano pana z jedną łodzią i sześciu ludźmi załogi celem zrekognoskowania pewnej grupy wysp, należącej do archipelagu Markizów. Nikt do tego czasu nie wylądowywał na tych wyspach, więc nie były jeszcze dotąd opisywane. Z zadania swego wywiązujesz się pan znakomicie, przywozisz świetne zdjęcia topograficzne, sprawozdanie pańskie zostaje umieszczone w Journal Officiel i... i potem wyjaśnia się z opowiadań majtków, którzy byli z panem wysłani, że w podróży swojej odkryłeś pan wyspę, niezanotowaną jeszcze na żadnej mapie. Majtkowie podają bajeczne opisy tego Eldorado, opowiadają o wspaniałej roślinności, o piękności i spokojnem usposobieniu krajowców, o obfitości wszelkich środków do życia.... Pan zapytany w tej mierze dajesz wymijające odpowiedzi. Przełożony pański poczyna się tem irytować i po wymianie depesz między komisaryatem marynarki a statkiem Juno, władze przychodzą do przekonania, że jest rzeczą bardzo ważną, aby ten dziki lud mógł skorzystać z dobrodziejstw cywilizacyi. Prócz tego, sporządzano właśnie mapę katastralną naszych posiadłości i potrzeba było wciągnąć do niej i tę właśnie wyspę. Naturalnie władze zwracają się do pana, abyś oznaczył dokładnie położenie owej nowo odkrytej wyspy, lecz żądanie to natrafia z pańskiej strony na opór trudny do zrozumienia: Utrzymujesz pan, że położenie tej małej wysepki nie jest ci dokładnie znanem, oświadczając zarazem, że wszystkie opisy majtków, dotyczące kraju i jego mieszkańców są po prostu kłamstwem. Mimo to odkomenderowują pana na kierownika ponownej wyprawy, gdyż pan tylko jeden znałeś dokładnie prądy i przesmyki tego labiryntu skał i raf podwodnych, wtedy wszakże zaczynasz się pan wymawiać chorobą i wreszcie prosisz o pozwolenie powrotu do Francyi. Komendant Raymond uwiadomił mnie, że uważa za swój obowiązek zdać sprawę o tem wszystkiem ministrowi marynarki, przedtem jednak zwrócił się do mnie i wiedząc dobrze jak się panem interesuję, prosił abym z panem pomówił i zażądał usprawiedliwienia się z tej niesubordynacyi. I tego właśnie usprawiedliwienia oczekuję od pana w tej chwili.

Falers patrzył przez chwilę za szaro żółtemi chmurkami, które uciekały szybko po niebie, a potem zaczął mówić po cichu, jak gdyby bał się zagłuszyć jakiś głos wewnętrzny:

— Panie admirale, wyjaśnię panu wszystko, usłyszysz pan całą prawdę, potem zaś możesz pan wydać o mnie taki wyrok, jaki ci się wyda stosownym. W dniu 25 września wypłynąłem na morze w łodzi żaglowej, lecz prądy, panujące w przesmykach między wyspami, zmuszały nas prawie ciągle do używania wioseł. Przybijaliśmy do paru wysep, na których europejska cywilizacya zostawiła już swoje ślady. Dzicy ludzie, których tameśmy oglądali, znachodzili się w stanie wprost zastraszającego zezwierzęcenia: pijaństwo i żądza gry, rozbój i kradzieże, słowem najniższe, najohydniejsze występki panowały wśród nich niepodzielnie. Nieszczęśliwy lud, ugniatany przez władców, uzbrojonych, dzięki dobroczynnym europejczykom, w stare strzelby, nie miał żadnej pociechy, żadnej ucieczki, prócz straszliwego alkoholu, z którym zapoznali go angielscy handlarze. Rozmawiając nieraz z krajowcami zauważyłem, że jedno słowo wymawiali zawsze z czcią i bolesnym żalem, tak jak się mówi o utraconej ojczyźnie, o cnocie której się już nie posiada. Niektórzy pokazywali przytem na zachód smutnym, zmęczonym ruchem ręki, powtarzając ustawicznie: „Hawaiki, Hawaiki". W miejscowem narzeczu znaczy to mniejwięcej tyle, co „żywiąca ziemia". Postanowiłem zbadać tę sprawę, lecz usiłowania moje natrafiły na przeszkody; im usilniej pytałem, tem mniej chcieli mi odpowiadać. Wreszcie, poświęciwszy na ten cel parę litrów rumu, dowiedziałem się od pewnego starego krajowca, że na zachodzie leży kraina, uważana przez nich za ojczyznę z której wszyscy pochodzą. Pewnego wieczoru pokazał mi ten dziki potajemnie — gdyż był już ochrzczony — święty wzgórek, na który zstąpili bogowie przychodząc w te strony z zachodu, z błogosławionej, żywiącej ziemi — Hawaiki.

Postanowiłem zbadać tę legendową wyspę i zachęcony pomyślnym wiatrem, odbiłem od brzegu. Po czterogodzinnej zaledwie podróży ujrzeliśmy ląd wznoszący się nad falami; zbliżając się do niego poczuliśmy świeży, delikatny, wonny wietrzyk, zielone lasy rozpościerały się na brzegu. Zaledwieśmy przybili, z krzaków wyskoczyli ludzie i poczęli zbliżać się ku nam śpiewając i tańcząc.

Przepędziłem tam osiem najpiękniejszych dni mojego życia. Szczęśliwa wyspa Hawaiki, „żywiąca ziemia", jest rajem na ziemi. Nietykana pługiem gleba wydaje bez uprawy plon obfity; pełno ryb pluska się koło wybrzeża; niewielka ilość zwierząt dzikich i domowych wystarcza na wyżywienie krajowców, tak, że pojęcie pracy, wysiłku, celem

utrzymania życia jest im poprostu niezrozumiałe. Nie potrzebują się niczem dzielić, gdyż wszystkiego jest aż nadto i wszystko należy do wszystkich. Paragrafy ustaw są tam rzeczą nieznaną; naturalna etyka, oparta na podstawach dobrobytu, wykluczającego wszelką zazdrość o dobro materyalne, wszelką walkę o byt, kieruje ich postępkami. Słowem, panie admirale, udało mi się, odkryć krainę w której ludzie są na prawdę szczęśliwi!

A tu zażądano odemnie, abym stał się burzycielem tego szczęścia! Zażądano, abym podał położenie tej wyspy, którą odkryłem przypadkiem a nazajutrz po spełnieniu tego żądania wysłanoby tam oddział wojska, i poborcę podatkowego... Ludzi, którzy potrzebują tylko rękę wyciągnąć, aby zerwać owoc zaspakający głód i gaszący pragnienie zagrzebanoby w głębiach ziemi, aby wydobywali złoto, bo jak się dowiedziałem, ma się ono tam znajdować. W miejsce wspólności dóbr, przyszłaby żądza wyłącznego posiadania, w miejsce błogiej nieświadomości, chytrość i przewrotność, dzikie życie bez trosk zmieniłoby się w cywilizowane piekło, a spokój w walkę i mękę... I to ja, ja miałbym być demonem, niszczącym ten raj, ja miałbym strącić tych ludzi w otchłanie nędzy i nieszczęścia? Nie, panie admirale, choćby od tego zależała cała moja przyszłość, cała moja karyera, nigdybym nie zdradził powierzonej mi przez los tajemnicy!

Po krótkiej chwili milczenia admirał wstał, wyprostował się i rzekł suchym, urzędowym tonem:

— Poruczniku Falèrs, z zanadto wielkiem pobłażaniem słuchałem twoich dziecinnych wywodów. Odpowiedz mi pan krótko: tak czy nie, czy masz zamiar spełnić rozkazy swych przełożonych i podać dokładnie gdzie leży owa wyspa?

— Panie admirale, mam zaszczyt prosić niniejszem o dymisyę!

Z okolic „czarnego miasta".



Wybuch nafty w Baku.

Smutna mania.

Zachowanie się pewnej części publiczności podczas przedstawienia „Wesela" Wyspiańskiego, napełniło mnie już w teatrze silnym niesmakiem. Myślałem, że po wyjściu z gmachu teatralnego zdołam otrząsnąć się z tych niemiłych wrażeń. Niestety, kielich, który mi danem było wychylić na strzemienne, przeszedł swoją goryczą wszystko, co zmuszony byłem skonsumować podczas gdy na scenie szalały mary, wywołane z nicości potęgą fantazyi twórczej poety-malarza.

Gdybym mógł utrwalić sobie w pamięci wszystkie sądy, zdania i zdanieczka, jakich ofiarą padały po kolei: idea sztuki, temat i wykonanie! Gdybym mógł spamiętać rady jakie odzywały się pod adresem autora wśród szelestu jedwabi i delikatnego zapachu perfum.... Teatr niby ul olbrzymi, świecący dziesiątkami okienek, opróżniał się z szumiącego roju pszczół ludzkich; ale wbrew naturze żądłami władały przeważnie — trutnie. Jak mało z tych pszczół uniosło ze sobą do domów słodki plon wrażeń!

Nie chcę bynajmniej twierdzić aby każdy, komu się nie podoba „Wesele" miał być godnym odsądzenia od czci i wiary; podobna arogancya przystoi chyba bardzo młodym dekadentom. Ludzi jednak, którzy nie są w stanie skoczyć równymi nogami do źródła poezji i zanurzyć się w niem z głową choćby na chwilę, może mi być tylko żal serdecznie.

Życie nasze jest marne; o tem nie ma chyba dwóch zdań pod słońcem i księżycem. Nie każdy umie w samem spełnianiu roli maszynowego kółka znaleźć kompletne zadowolenie i szuka go gdzie może, najczęściej zaś — w sztuce. Dlaczego jednak tyle osób, idąc do tego ożywczego zdroju sztuki nie może zostawić w domu swojej zwyczajnej, codziennej skóry? Dlaczego musi robić użytek z prawa bezmyślnej krytyki, które zakupuje w kasie teatru wraz z biletem wstępu? Dlaczego, zganiwszy dopiero co w domu przypaloną pieczeń lub lichą zelówkę butów, przyskakuje w godzinę potem z krytycznym łokciem do dzieła i mierzy je, mierzy, szuka dziury na całem i zatruwa sobie przyjemność, jaką mogłaby odnieść ze spokojnego wysłuchania sztuki? Jeżeli idąc do teatru ludzie ubierają się odświętnie, zostawiając w domu stare ubranie, czemu strój duchowy tylu osobników, uczestniczących w uczcie teatralnej wykazuje takie braki? Gdzieindziej ludzie schodzą się do teatru po to, aby odnosić wrażenia: u nas po to by krytykować, wydawać sądy, hołdować tej samej manii z którą nieuje się u nas wszystko, począwszy od tualety pani radczyni, a skończywszy na polityce Koła polskiego w Wiedniu.

Nie myślę wcale odmawiać nikomu prawa wyrażenia swego zdania. Każdy jest panem za swoje trzy grosze i może powiedzieć, czy tych trzech groszy wydanych na bilet żałuje, czy nie. Ja się tylko dziwię ludziom, którzy nie mogą patrzeć na cokolwiek, aby nie krytykować i to w podłem, marnem tego słowa znaczeniu, w takiem, jakie mu się nadaje mówiąc o Podfilipskich, którzy uczą kucharza, ile się bierze do sosu oliwy lub kaparów. Dziwię się im i, jak już wspomniałem, czuję dla nich serdeczne współczucie.

Najpiękniejsze chwile życia, jakie pamiętam, były właśnie chwilami zapału, bezkrytycznego zdania się na wolę wrażeń, które mnie unosiły; być może, iż dla innych analiza jest źródłem większych i subtelniejszych rozkoszy, ja i wielu ze mną najwyższe porywy ducha zawdzięczamy impresyom, spadającym nagle, z mocą górskiej rzeki, nieujętej jeszcze w żadne kunsztownie obmyślane groble dociekań i wnioskowań.

Czując tę wielką, bezgraniczną niemal rozkosz pędzenia po nieziemskich przestworzach śladem wielkiej idei lub lotnych widziadeł piękna, nie mogę nie żałować ludzi, którym krytyczne nawyczki ciężą ołowiem na skrzydłach. U nas każdy prawie przyjmuje wrażenia tak, jak gdyby miał na ich podstawie pisać recenzyę i to taką dużą, mądrą recenzyę, w którejby najbardziej zakute głowy świata znalazły dokładne a przystępne wytłomaczenie danego dzieła sztuki, wraz z komentarzem do każdej kreski w obrazie i każdego przecinka w utworze literackim. Jest to tem dziwniejsze, że sprawozdawcy krakowscy zbyli się już, z małymi i śmiesznymi wyjątkami, tóg sędziowskich i dziecinnych trójnogów, smutnego dziedzictwa po ś. p. Pytyi i mówią przeważnie zrozumiale, po ludzku i z poszanowaniem świątyni sztuki, której przedsionek zajmują z urzędu. Z ich strony nie spotyka się już komicznych rad dla autora, jak to lub owo p o w i n n o było być zrobione, ni też apodyktycznych sądów miernoty o tem, czego nie jest w stanie zrozumieć. Skądże zatem bierze się zły przykład, kto nauczył pewną część naszej publiczności zatruwania sobie z wolnej woli napoju, którym ją twórcy częstują?

Jeszcze raz zastrzegam się przeciw temu, jakobym wdzierał się w czyjeś prawa, zwłaszcza gdy chodzi o tak ważny przywilej, jak wściubienie swoich krytycznych trzech groszy do wspólnego

Z okolic „czarnego miasta".



Domy robotników w Baku, spalone podczas ostatniego pożaru.

worka, który zwie się opinią publiczną. Niech sobie każdy według swego upodobania dłubie palcem w ciastku, otrzymanem do zjedzenia. Szkoda będzie zawsze po jego stronie.

Nie mogę wszakże powstrzymać się od wyrażenia swego ubolewania nad tem, że sporo ludzi zamiast odbierać wrażenia, myśli nad tem dlaczego je odbiera, lub nie odbiera? Podobnoś ma się to zwać krytycyzmem i świadczyć o wyższej kulturze umysłowej. Mnieby się zdawało przeciwnie. Prawdziwa kultura umysłowa łączyć się zwykła z wielkiem pobłażaniem dla wad utworu, jeżeli są jakie, i z wyszukiwaniem stron dobrych. Niedouczeni malcy szukają wszędzie gwoździka, by na nim zawiesić tłomoczek ze swoją wiedzą; wyrozumiałość w połączeniu z pewnego rodzaju naiwnością w przyjmowaniu wrażeń, jest cechą ludzi prawdziwie wykształconych w jakimś kierunku.

Tej naiwności, tej radości ze sztuki trzeba u nas długo i mozolnie szukać. Znaczna część widzów uważa teatr za miejsce, w którem muszą się popisać ze swoją erudycyą, darem spostrzegawczym i niezawisłością zdania, a następstwem tego jest, że w razie gdy sztuka tłomaczy się jasno, ludzie mają żal do autora, iż tak małe ich umysłowi postawił zadanie, w przeciwnym zaś razie rozbrzmiewa krzyk: niezrozumiałe! ciemne! czego on chce właściwie?

Wszak zdrowy rozsądek powiada, że na ocenienie jakiejś rzeczy trzeba ją wprzód poznać; tymczasem niektóre gatunki ludzi już po pierwszych słowach pierwszego aktu sztuki wiedzą, że to było „liche“ tamto „słabe“ a cały utwór „będzie z pewnością kiepski“. Tak to u nas z pierwszej łyżki zupy wydaje się a priori sąd o całym obiedzie. Postępowanie zaiste niawłaściwe dla tych, co pragną rościć sobie prawo do nazwy — smakoszów.

Na pochwałę publiczności krakowskiej muszę wyznać, że ludzie o których tu mówię stanowią na szczęście dość niewielki procent wśród ogólnej liczby naszych miłośników teatru. Mimo to wszakże fakt ich bytowania jest równie niezaprzeczony jak przykry. Przykrym zaś nazywam go dlatego, że ci państwo, w szlachetnem nieskrywaniu pod korcem swej łojówki, zatruwają przyjemność biernego oddawania się sztuce nietylko sobie samym lecz i drugim.

W.

Włodzimierz Tetmajer: Sceny z „Zawiszy Czarnego“.



Zawisza na chłopskiem weselu

Leonard Lepszy.

Wyspiański i Malczewski.

„Kazimierz Wielki“ — „Zmartwychwstanie“.

> A ty się skarżysz, że ktoś w braci tłumie
> Twych myśli i mów i dzieł nie rozumie?
>
> *Mickiewicz, „Arcy-Mistrz“.*

(Dokończenie.)

A jednak mimo tak niezwykłej, ognistej wyobraźni, niezmordowanej, i nieokiełznanej warunkami bytu twórczości, która pociąga na najszczytniejsze wyżyny ducha, — w praktyce życia Wyspiański nie znachodzi nawet takiego poparcia, jakie zyskują artyści *minorum gentium*.. Zjawisko w świecie pospolite, jak pospolici są *Dii consentes*, co przepełnieni olimpijską godnością wzrok utkwili w niziny szerokie, a nie są zdolni podnieść swego czoła ku podniebnym szlakom, dokąd wzlatują orle skrzydła geniuszu. W roku bieżącym na wystawie jubileuszowej w Sukiennicach zawisł na ścianach wielki witraż z widmem Kazimierza Wielkiego:

> „Wielkości! komu nazwę twą przydano,
> ten tęgich sił odżywia w sobie moce,
> i duszą trwa, kilkakroć przedzierżganą,
> świecącą w długie narodowe noce;“
>
> (St. Wyspiański: „Kazimierz Wielki“, strofa I).

Jakieś nadprzyrodzone moce biją istotnie z tej pozagrobowej postaci, która, po pięciu wiekach, jakby odżyła duchem doziemskim; pod jej parciem pękły wrzeciądze grobowe, sarkofag rozwarł się na ścieżaj, a z niego powstała ona z martwych — z wiekowego snu:

> O snu! długiego snu! O sławo! sławo!
> o Dolo ty! płynąca wielką rzeką!
> o Losie ty! wulkanną rwący lawą,
> o Wieki! — jak się bezpowrotnie wleką...
> Potęgo! surm wojennych grzmiąca wrzawą.
> O łzy! te: co radością trysłe cieką,
> O serce! — jak miłoście światy kruszą!
> o snu, błogiego snu! o sławo — duszo!
>
> („Kazimierz Wielki“, strofa IV).

I ukazała się zdumionym oczom postać wielka, groźna swą wielkością, przyobleczona w majestat królewskości, z wyrazem niewysłowionej boleści i współczucia, stanęła widmem przeszłości, by znów:

> . . . . „na narodu czele
> w nieśmiertelności królować kościele“.

A w okół tej ukoronowanej i świecącej fosforycznie głowy o niewymownym majestacie i godności, bije łuna tęczowych kolorów, a z niej zarazem jakowaś groza, jakby z powodu roztrwonienia olbrzymiego dorobku i spuścizny Kazimierzowej, którą lekkomyślna przeszłość zmarnowała. Ale on miłości i przebaczenia pełen, gdy

> „w rozpaczy żalach szaty rwiemy“,
> wtedy on słyszy.

Potęgą wołania wskrzeszon, podnosi się jego królewski Cień, by wesprzeć narodu siły:

> „Straszliwą burzę zrywam, wichry miecę;
> coraz ogromne żary garnę w łonie:
> chmur ciężkich zwały ponad Wawel gonię,
> grom na grom ciskam, piorunami świecę:
> od nich już całe niebo w łunach tonie.
> Hej do mnie, do mnie! na wiekowe wiece!
> Ja król nad wami! Ja Duch znowu z wami“!

Bezsprzecznie to symboliczne wywołanie przed oblicze narodu króla Ducha jest najśmielszą kreacyą, jaka się zrodziła w fantazyi artystycznej polskiej w roku ubiegłym, a zarazem najzgodniejszym obrazem ze stanem duszy polskiej, nękanej i smaganej nieubłaganie biczem złośliwości wrogów, duszy, która w minionej przeszłości i w wierze w przyszłość czerpie nowe siły do życia.

Sztuka symboliczna, jak jasno określa p. W. Witwicki, w swoim szkicu „Symbolizm w sztuce“, o tyle wyżej stoi od innych jej rodzajów, że daje uczuciom artysty wyraz najwierniejszy, bo wprost w duszy jego przez nie wywołany, a zarazem i najwymowniejszy, bo symbol działa na duszę widza odpowiednio wrażliwego całkiem bezpośrednio, to znaczy, że sam widok jego wywołuje w nas te uczucia, które go w duszy twórcy zrodziły. Patrzymy na symbol, i już jesteśmy pod jego wrażeniem, już robi się nam tak na sercu, jak było artyście, gdy tworzył.

Symbol, to dzieło sztuki tak dalece pojemne, że artysta potrafi w nim prócz uczuć, zamknąć pojęcia i przekonania, nie uciekając się do emblematów i do zużytych allegoryj w ścisłem tego słowa znaczeniu. Ztąd też najodpowiedniejszym jest on rodzajem twórczości dla artystów, którzy chcą się w swych dziełach w całości wyrazić, którzyby radzi duszę całą przelać w płótno, czy w marmur zakuć, którzy niczego nie chcą zamilczeć, ale w jednym potężnym rzucie pędzla lub dłuta zamknąć i w dusze widzom cisnąć wszystko, co w chwili twórczej przeżyli. U początku tego wieku allegorya w malarstwie, szczególniej monachijskiem, przeważała nad tem pismem obrazowo-filozoficznem; potem anegdota królowanie objęła, by treścią dzieł więcej działać, aniżeli kształcić

formę; po niej realizm berło formy podniósł i coraz bardziej od treści ku formie schodzono, aż dziś na nowo symbolizm w doskonałą formę rozpoczyna staczać lawiny treści. Może też żaden z rodzajów wyrażenia dzisiejszego nastroju duchowego i uczuć narodowych nie odpowiada nam bardziej i lepiej jak symbolizm, który swobodnie głosi to, co płynie wprost z duszy i serca.

Trudno nam jeszcze nie dorzucić słowa wzmianki o innym kartonie do katedry na Wawelu, znajdującym się obecnie w posiadaniu prof. Juliana Nowaka. P. Wyspiański wyśpiewał na nim modlitwę milionów do Naj świętszej Panienki o uzdrowienie omdlałej duszy narodu. Oto Rozkoronowaną (Polskę) zdjętą niemocą, z przewiązanym mieczem w pochwie, w płaszczu szkarłatnym, omdlałą bezmiarem bólu i cierpienia, podtrzymuje chłopek w białej sukmanie i inne postaci otoczenia. Nad postacią Rozkoronowanej nagie chłopięta lecą błagalnie ku stopom Bogarodzicy, która, stojąc na kwiatach róży, otoczona bukietem kosaćców, patrzy, współczuciem przejęta, ku dołowi, na tych, co cierpią i miłosierdzia żebrzą. (Reprodukcya kolorowa Madonny w *Ver sacrum* zeszyt z lipca 1898). Sama postać Polski, znana już ze szkicu węglem na wystawie z r. 1894, jest niepospolitem dziełem.

P. Wyspiański tworzy dalsze kartony swoje bez oglądania się na zamówienia, bez względu na to, że je dzisiejszej chwili *Dii consentes* nie uznają za godne, by się roziskrzyły w blaskach słonecznych na szybach katedry królewskiej. Robi dla zaspokojenia potrzeby serca, tworzy i snuje z głębi swej bogatej skarbnicy duchowej i tak czyniąc robi dobrze. Wierzę też niezłomnie, że przyjdzie czas, kiedy na Wawelu prysną niemieckie szkła, któremi przystroi się obecnie panteon narodowy i ustąpią miejsca godniejszym, co palą najserdeczniejszą ofiarę miłości Ojczyzny ze wszystkiego, z całego istnienia i życia swego.

Obok prac Wyspiańskiego, postaci potężnej i indywidualnej postawić można, lub jak kto chce przeciwstawić im mistrzowskie w rysunku i kolorycie dzieła Malczewskiego. Na wystawie jubileuszowej znalazły się jego dwa obrazki „Czapki z głów“ i „Moja piosenka“, w której przedstawił artystę w papierowej czapeczce z jowialnym uśmiechem patrzącego przed siebie i słuchającego melodyi fujarki młodego, pękatego fauna. Na planie drugim wioska polska, jakby wyjęta z japońskiego obrazu, z symbolicznym z kosą oraczem, u pługa zaprzągniętego pegazem. Obraz ten charakteryzował wybornie muzę naszego pieśniarza-artysty.

Jak niezliczone są studya i poglądy na Szekspirowskiego Hamleta, tak o każdym nowym obrazie Malczewskiego o znaczeniu i treści jego nie zdarzyło mi się usłyszeć dwóch zdań jednakowych. Są ludzie, którzy twierdzą, że i sam artysta odmiennie czasami interpretuje i objaśnia swe obrazy, a zatem niechaj i mnie wolno będzie, mówiąc o jego dziełach, objaśnić je z własnego punktu widzenia.

Jacek Malczewski to malarz-marzyciel, którego poezya zawiodła była w zastępy Dantejskiego piekła. Po przebytych żalach i trwogach dusznych, stanęła przy nim w postaci pantery z torsem kobiety uosobiona istota złego, w najrozciąglejszem tego słowa znaczeniu, od pierwiastku często politycznego machiawelizmu, od wszystkich niskich instynktów, aż do spaczonej opinii publicznej, która ani pojąć, ani zrozumieć artysty nie umie. Przewrotność, złość i zawiść, cały bezmiar zła, jak wampir wpija się w mózgi zbłąkanego tłumu, a prześladuje, straszy i nęka duszę artysty:

W tem tam, gdzie ścieżka strzelała ku górze,
Znienacka mi się zjawiła u stoku
Zwinna Pantera o plamistej skórze.

Ta z mej osoby nie spuszczała wzroku,
I tak nużyła w mojem wstępowaniu,
Że kilka razy chciałem wracać kroku.

Była to chwila, kiedy duch artysty wyniósł się na wyżyny myśli ludzkiej i wszedł na nowe drogi odrodzenia sztuki:

Była to właśnie chwila na zaraniu:
Wschodziło słońce z onym gwiazd orszakiem,
Co z niem świeciły, gdy w pierwozadrganiu
Świata, Pra-miłość wiecznymi pchnęła szlakiem
Cudowne twory; więc ta pora świeża
I wiosny bliskość były dla mnie znakiem,
Że przecież ujdę pstrokatego zwierza.

Dante: Boska komedya, Pieśń I, tłóm. Porębowicza.

W cyklu pierwszym snuł malarz-poeta barwną poezyę rysunku i koloru, jęki narodu, jego boleść dziką i tworzył obrazy niewymownej potęgi i natężenia myśli:

A w tem doszedłem do miejsca, gdzie duchy
Płaczem ogromnym nieustannie krzyczą.

. . . .

Piekielny orkan puszczony ze smyczy
Dusze w gwałtownym ponosi upuście,
Szarpie i kole i ościeniem ćwiczy,
A kiedy lecą razem nad czeluście
Jęk z jękiem gada, wrzask z wrzaskiem się kłóci,

. . . .

Płynące smugą burz duchy człowiecze.

Tamże, pieśń V.

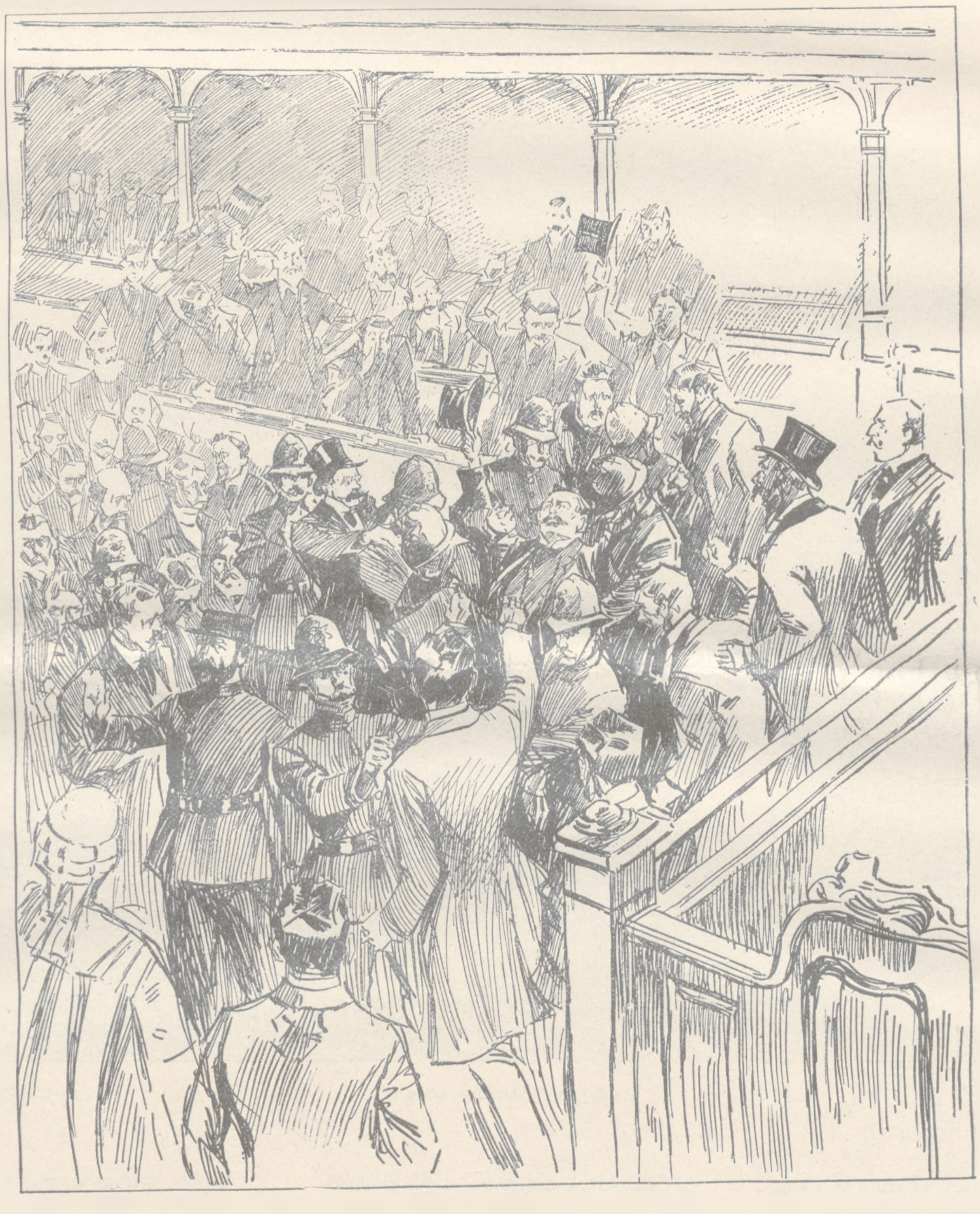
Wreszcie malarz-marzyciel odnalazł druha swych uczuć przędzy w polskim poecie i odczuł w nim „Zmartwychwstanie“ swoje, bo:

Śmierć, to ciągłego postępu chorąży,
Który na nowe świat prowadzi tory,
Wschodzącym kiełkom usuwa zapory,
I z rzeszą istot w nieskończoność dąży.
Z jego opatrznej, choć surowej łaski
Świat nie zastyga pod próchnem i pleśnią,
Ale młodości wciąż przebrzmiewa pieśnią…

Asnyk, Sonet XXI. „Nad głębiami“

Poeta sztuki plastycznej rzucił na tło pejzażu, z widokiem szeregów świeżych mogił wiejskiego cmentarza, dwie w słonecznych blaskach skąpane postacie. Jedna z nich, to Sława, skrzydlata, młoda dziewica, na której śnieżnych skrzydłach osiadł rój motyli, ze szklannemi, w świetle iryzującemi czarkami w obu rękach, na które sfruwają barwne motylki ludzkiej fantazyi. A z lewej strony starzec-artysta, półnagi, z przepyszną na silnych barkach osadzoną i siwizną spruszoną głową, trzyma w ręku symbol wiecznych przemian, zielonego konika polnego. Podany w tył z ustami odchylonymi, z oczyma bielmem zaszłemi osuwa się w otwarty grób, w którym stać się już zdaje. On, antyteza młodości, któremu zamyka się księga żywota, choć już śmiertelnie omdlały znojem życia, zwraca się jeszcze do wysłanki niebiańskich sfer,

Zaburzenia w parlamencie angielskim.



Policya usuwa z sali opornych Irlandczyków.

w które jego ulatuje dusza, z głęboką wiarą istnienia w dalszej, nowej przemianie. Melodya kolorytu idzie w zawody z muzyką kształtów i tworzy jeden z najpiękniejszych sonetów śpiewnych poety malarza.

Równocześnie pojawił się obrazek zatytułowany „Podszepty“. Mógłby on tworzyć pendant do poprzedniego. Na szczeblach, pnących się w górę, siadł pełen zadumy chłopczyna i słuchaułudnych „Podszeptów“ wielkiej sztuki, puszcza myśl swoją na szerokie świata zagony, marzy o przyszłości, silny swą ufnością we własną moc, w pragnienie swoje, aby być i działać, aby szukać nowych dróg, któreby prowadziły do dni zwycięstw i chwały. Obok niego stanęła niewieścia skrzydlata postać sztuki, której szept rozpowiada mu o nieznanych czarownych krainach piękna, gdzie ona władnie, panią jest wielką, jasną i rozkoszy duchowych dawczynią.

W grudniu 1900.

JUBILAT-MUZYK.

Żyjemy w sezonie jubileuszów. Zaledwie przebrzmiały rozgłośne echa wiwatów na cześć Sienkiewicza, możemy znów zanotować nową uroczystość: Zygmunt Noskowski obchodził w ubiegłą środę 20-letni jubileusz swej chlubnej działalności artystycznej w charakterze dyrektora Towarzystwa muzycznego w Warszawie.

Kompozytorskich zasług znakomitego jubilata nie potrzebujemy, jak się zdaje, przywodzić na pamięć czytelnikom. Twórca „Morskiego Oka“, „Kto się w opiekę“, „Świtezianki“, „Jasia“, „Livii Quintilli“ i dziesiątków innych wspaniałych utworów musiał się już wkraść na tyle we wdzięczną pamięć społeczeństwa, iż przypominanie o jego znaczeniu dla polskiej twórczości muzycznej byłoby rzeczą zupełnie zbyteczną.

Zima we Włoszech.



Rzym pod śniegiem.

Tem większy wszakże należy położyć nacisk na to, iż plon zasług, zebrany przez Noskowskiego na polu starań około podniesienia narodowej muzyki nie ogranicza się tylko do wzbogacania archiwów polskiej sztuki tonów coraz to nowymi arcydziełami. 20-letnia działalność jego w warszawskiem Towarzystwie muzycznem pozostanie na kartach historyi naszej muzyki niezatartem świadectwem, że znakomity twórca włożył w popularyzowanie i przedstawianie słuchaczom wszystkich wybitnych kompozytorów polskich kolosalną ilość pracy, z pewnością nie mniej, jak w snucie przędzy własnych utworów. Stworzywszy podstawę materyalnego bytu Towarzystwa muzycznego w Warszawie za pomocą odpowiedniej organizacyi koncertów, zabrał się do pracy i oto, po dwudziestu latach, instytucya na której czele stoi, rozkwitła wspaniale. Obcy artyści, przelotne ptaki estradowe ściągają wybr dną i kapryśną publiczność co tydzień do sal redutowych; kasy towarzystwa napełniają się monetą, a uzyskane tym sposobem przewyżki idą na pokrycie deficytu z tych wieczorów, które są poświęcone muzyce swojskiej. Stan taki nie przynosi zbyt wielkiego zaszczytu Warszawie, ale jest niestety zgodny z prawdą. Współczesna twórczość polska musi się jeszcze przemycać na estradę warszawskich sal koncertowych, a dochód osiągnięty z wirtuozowskich popisów pokrywa niedobory koncertów, na których bywają produkowane dzieła polskiej muzyki, lecz i to jest już znacznym zwrotem ku lepszemu.

Dzięki takiej gospodarce, prowadzonej ze znajomością stosunków, Towarzystwo muzyczne w Warszawie urosło do rozmiarów poważnej instytucyi o niemałem narodowem znaczeniu. Z jednej strony Warszawa stała się dla wirtuozów wszelkiego rodzaju małem Eldorado sutych honoraryów i równie sutych oklasków, z drugiej zaś można ją uważać za ostoję polskich talentów zarówno twórczych jak i wykonawczych.

Zrozumiała to i oceniła publiczność warszawska, urządzając Noskowskiemu w dzień jubileuszu wspaniałą owacyę. Uroczysty koncert o programie złożonym przeważnie z dzieł jubilata a wykonanym przez pierwszorzędne siły artystyczne Warszawy, był jednym ciągiem oklasków i przywoływań zasłużonego dyrektora. Wieńce i podarki, nieodłączne akcesorya wszelkich obchodów tego rodzaju, mogły służyć za dowód, iż Warszawa jest przecież lepszą od swej opinii, iż nietylko potrafi czcić bałwochwalczo obcych wirtuozów, lub nawet polskich kompozytorów — po śmierci, lecz odda też hołd prawdziwej zasłudze ilekroć się godziwa ku temu nadarzy sposobność.

Noskowski, zwykłą koleją ludzi, przerastających o całe piętra swoje otoczenie, musi nieraz walczyć z zawiścią fachowców lub nawet osób, nic z muzyką nie mających wspólnego; środowa uroczystość była dlań zapewne dowodem, że społeczeństwo warszawskie jako takie, potrafi cenić i czcić jego niezmordowaną i pełną poświęcenia pracę dla dobra ojczystej sztuki. To powinno go wynagrodzić za różne intrygi i przykrości, których nieraz był przedmiotem. Trudno! Im wyżej ktoś stoi, tem lepszym jest celem dla pocisków niecnoty lub osobistego rankoru. Zasługom jego dodają te trudne warunki pracy tylko większego blasku i słuszniejszej chwały.

EDISON JAKO FABRYKANT ZABAWEK.



LALKA FONOGRAFICZNA.

Nasze ryciny.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy dwie illustracje do świetnego dramatu Kazimierza Tetmajera p. t. „Zawisza Czarny“, drukowanego obecnie w osobnym dodatku „Głosu Narodu“. Twórcą ich jest znakomity artysta-malarz, Włodzimierz Tetmajer, brat poety. Jedna z rycin przedstawia Zawiszę tańczącego na chłopskiem weselu, (obraz II-gi dramatu), druga zaś rozmowę księcia Felsburga z księdzem Barberem (obraz III).

Niedawno temu świat cały wyczytał w pismach z największem zdziwieniem, że parlament angielski, ta starodawna instytucya, słynna z powagi i porządku, zaczyna brać sobie przykład z innych ciał prawodawczych, przedewszystkiem zaś z austryackiej Rady państwa. Zaszło tam mianowicie zdarzenie, żywo przypominające fatalne zajścia w parlamencie wiedeńskim podczas niemieckiej obstrukcyi. Irlandczycy wzbraniali się głosować nad wnioskiem o udzielenie 17 milionów funtów szterlingów na kredyty wojskowe; daremnie najwyższy urzędnik parlamentu angielskiego, t. zw. *speaker* wzywał ich do głosowania. Wobec tego oporu Izba uchwaliła wykluczyć Irlandczyków z posiedzenia, lecz ci oświadczyli, że nie opuszczą sali. Gdy już służba parlamentarna nie mogła spornych skłonić do wyjścia zawezwał *speaker* policyę, która wynosiła jednego Irlandczyka po drugim, trzymając ich za ręce i nogi. Podczas tego, reszta niewyniesionych jeszcze posłów irlandzkich śpiewała na cały głos: „Boże chroń Irlandyę!“ i powiewała kapeluszami. Dobrą godzinę trwało robienie porządku z Irlandczykami, poczem uchwalono żądane przez gabinet kredyty. Przykre to zajście wywołało w całym kraju wielki niesmak, a na angielską izbę gmin ściągnęło bardzo niepochlebne porównania z parlamentem austryackim.

Jeszcze tlą się zgliszcza składów naftowych w Baku, nad morzem Kaspijskiem, zniszczonych przez ogień w ostatnim olbrzymim pożarze. Naprzód zapaliły się składy Rotszylda, gdzie znajdowało się 5 milionów pudów nafty (pud = 40 funtów rosyjskich), od nich zaś zajęły się pobliskie magazyny, mieszczące w sobie 12 milionów pudów! Płonąca nafta popłynęła ku domom robotników i spaliła je niemal doszczętnie przyczem 20 osób postradało życie. Prócz ryciny przedstawiającej domy robotników oraz składy nafty z widokiem w głębi na olbrzymie rezerwoary, zawierające oczyszczoną już naftę, przynosi dzisiejszy numer widok z okolic Baku, „czarnego miasta“, przedstawiający wybuch gorejącej nafty z ziemi.

Twórcą gadającej lalki jest naturalnie Edison, który zastosował do niej uczyniony przez siebie wynalazek fonografu. Wewnątrz jej korpusu znajduje się miniaturowy fonograf, powtarzający to co się do niego powiedziało. Bardzo piękna zabawka, szkoda tylko, że prócz dzieci bardzo bogatych rodziców nikt nie będzie mógł z niej korzystać. Zresztą uboga dziatwa bawi się częstokroć lepiej przy pomocy zabawek, sprokurowanych naprędce ze szmat i kawałków drewna, niż dzieci bogaczy, znudzone nadmiarem kosztownych bawidełek.

Turyści, spieszący na zimę do Włoch, aby się napawać ciepłem powietrzem kraju „gdzie cytryna dojrzewa“, doznali w tym roku niemałego zawodu. Rycina, przedstawiająca Rzym widziany z góry Monte Pincio, da czytelnikom wyobrażenie, jak wygląda wieczne miasto pod białą powłoką śniegu! Niezwykły ten we Włoszech, zwłaszcza południowych gość zawitał niedawno do Rzymu, ku przerażeniu i szczękaniu zębami wszystkich mieszkańców. Mieszkaniom włoskim brak jest pieców, a kominki służące raczej do ozdoby niżeli do ogrzewania pokojów, niewiele przysparzają ciepła niewytrzymałym na mrozy południowcom.

Rozwiązanie logogryfu zamieszczonego w poprzednim numerze:

Kazimierz Brodziński.

Arytmogryf kryształowy.

Ułożył A. M. z F.

W niżej zamieszczonych kombinacyach, liczby zamienić na litery, tak, aby środkowe litery otrzymanych wyrazów, czytane w pionowym i poziomym kierunku utworzyły imię i nazwisko filozofa polskiego, żyjącego w XIX w.

					5					
				4	**3**	5				
			2	1	**9**	1	18			
		8	3	9	**10**	11	11	10		
	4	12	13	10	**4**	14	15	16	3	
5	**3**	**9**	**10**	**4**	**4**	**15**	**8**	**1**	**4**	**18**
	3	6	10	4	**15**	16	3	9	17	
		8	3	9	**8**	3	9	3		
			19	9	**1**	11	17			
				1	**4**	3				
					18					

Znaczenie wyrazów:

1. Spółgłoska.
2. Roślina krzyżowa.
3. Rzeka w Galicyi wschodniej.
4. Nazwa włoska stylu.
5. Liczba geometryczna.
6. Imię i nazwisko filozofa polskiego.
7. Imię męskie.
8. Imię żeńskie.
9. Naród.
10. Zdrobniałe imię żeńskie.
11. Spółgłoska.

W Niedziele i Święta zamknięte.

GRODZKA L. 2.

(dawniej Bruno Hahn.)

STEFAN PORĘBSKI i Ska.

Nici, Bawełny, Jedwabie, Włóczki i wszelkie przybory do szycia i haftu.

Z KURNIKA ZARODOWEGO

kur rasy Langshan, założonego przez c. k. Towarzystwo Rolnicze krakowskie, sprzedaje **koguty po 6 kor., Kury po 4 kor., Jaja po 30 hal.** bez opakowania

E. Kamiński w Przyborowiu p. Grabiny.

Kantor wymiany

Filii c. k. uprzywil. gal. akc.

BANKU HIPOTECZNEGO

W KRAKOWIE,

kupuje i sprzedaje pod najkorzystniejszemi warunkami wszelkie papiery wartościowe, banknoty zagraniczne i monety, wydaje przekazy na wszelkie większe miasta zagraniczne.

Wypłata wszelkich kuponów, i wylosowanych efektów bez potrącenia prowizyi. 5

FILIA c. k. UPRZYW. GALIC. AKC.

Banku Hipotecznego

43 **W KRAKOWIE,**

wydaje

ASYGNATY KASOWE

oprocentowując takowe

4½% za 90 dniowem wypowiedzeniem

4% za 60 dniowem wypowiedzeniem

3½% za 30 dniowem wypowiedzeniem

Filia c. k. uprzyw. gal. akc. Banku hipotecznego przyjmuje **wkładki do oprocentowania** w rachunku bieżącym, wydaje w tym celu **książeczki czekowe,** przyjmuje depozyta wartościowe do przechowania, udziela **zaliczki na papiery wartościowe** i uskutecznia zlecenia na **zakupno lub sprzedaż efektów** na wszystkich giełdach krajowych i zagranicznych.

Parcelacya.

W okolicy Bochni 2½ klm. od stacyi kolejowej oddalony

majątek w objętości 410 morgów

ornej, bardzo dobrej gleby, zostanie częściowo **rozparcelowany pod bardzo korzystnymi warunkami.** Połowa ceny kupna pozostaje na hipotece spłacalna w przeciągu 20 lat.

Zgłoszenia uprasza się nadsyłać do p. **Ignacego Plesnara**, Kraków ulica Jagiellońska l. 5, parter — „Głos Narodu".

Do sprzedania.

Bardzo piękna wieś,

850 mrg obszaru, 2 klm od stacyi kolejowej oddalona między Tarnowem a Dębicą położona. 650 mórg roli i łąk, postępowo i racyonalnie w własnym zarządzie od długich lat zostająca — wraz z bardzo pięknym inwentarzem żywym i martwym, oraz zasiewami ozimin, 200 mórg młodego lasu obejmująca jest **za ostatnią cenę 160.000 złr. do sprzedania.**

Towarzystwem kredytowem ziemskim **85.000 złr.** obciążona, jednak jeszcze wyższa suma w tym Towarzystwie może być podniesiona, **żadnych innych ciężarów ani serwitutów niema.**

Wiadomość **J. PLESNAR Kraków, ul. Jagiellońska 5. parter, Głos Narodu.**

Na Wielopolu

CYRK WIKTORYA

80 osób! Muzyka własna. 50 koni!

W niedziele 24 marca

DWA WIELKIE PRZEDSTAWIENIA.

Początek popołudn. o 4. wieczorowego o 8 godz.

Przedstawienie popołudniowe tak samo będzie efektowne, jak i wieczorne.

Występ wszystkich artystów.

Oryginalne tresury z wolnej ręki przez Pana i Panią dyr. Wiktor;

jakoteż wszystkich klownów i Augustów, z świeżemi żartami.

Z wysokiem poważaniem

Dyrektor Wiktor.

Bliższe szczegóły w afiszach.

Majątki do sprzedania.

MAJĄTEK

w okolicy Dębicy składający się z 525 mórg, w czem ornej ziemi 240 mórg, łąk 25, wiklin 30, lasu 230 mórg, w tem 120 wysokopiennego po cenie 500 złr. za morgę, w własnej administracyi prowadzony i wzorowo zagospodarowany, wraz z zabudowaniami i inwentarzem żywym i martwym.

MAJĄTEK LASOWY

obejmujący 4800 mórg, w tem **lasu starego i rębnego 3400 mórg,** 800 roli, 600 łąk, zagospodarowany dobrze, wraz z inwentarzem żywym i martwym jest w wschodniej Galicyi za cenę 1.150.000 koron, z długiem bankowym 300 tysięcy koron.

MAJĄTEK

10 klm. od Ropczyc oddalony, obejmujący 2565, mórg w czem roli 769, łąk 128, lasu bardzo ładnego 1668 mórg, z gorzelnią będącą w ruchu, dobrze zagospodarowany wraz z inwentarzem i powozami, z długiem 150 tysięcy Tow. kred. Ziemskiego jest za cenę 400.000 koron do sprzedania.

Bliższych wyjaśnień osobom reflektującym na takowe udziela

p. Ignacy Plesnar

Kraków, ul. Jagiellońska l. 5 parter. „Głos Narodu".

NOWO ZAŁOŻONY

Zakład pogrzebowy Jana Wolnego

w Krakowie, przy ul. św. Tomasza L. 4, Telefon L. 331.

Jedyny zakład na Kraków, posiadający własny wyrób trumien w różnych gatunkach.

Fabryka oraz skład główny przy ulicy św. Tomasza L. 4.

Zakład urządza pogrzeby od najwspanialszych do najskromniejszych **po cenach nader umiarkowanych,** jak również urządza takowe **na spłaty w ratach miesięcznych.**

Filia znajduje się przy ul. Kopernika L. 6.

Ważne dla P. P. Restauratorów.

Naczynia Kuchenne Miedziane

tanio są do sprzedania

w dziale inseratowym »Głosu Narodu« w Krakowie przy ul. Jagiellońskiej L. 5.

Na żądanie wysyłam darmo i opłatnie okazy tutek.

Zakład przemysłowy wyrobów papierowych oraz tutek cygaretowych

„NORIS"

WŁ. BEŁDOWSKIEGO

magistra farmacyi i chemika w Krakowie.

Kraków, przy ul. Poselskiej l. 20.

888

Dla łatwego wyboru tutek polecam.

Tutki białe „Noris"	do tytoniów lekkich i specyalnych	**Tutki kukurudziane „Maïs de Paris"**	do tytoniów specyalnych
„ „ z watą		**„ „ „Maïs Wallis"**	
„ kukurudziane „Maïs Numa"		**„ egipskie „El Maur"**	
„ „ „Maïs Albert"		**„ „ "Offic. Club"**	

Idąc za postępem i rozwojem przemysłu i chcąc zaspokoić wszelkie wymagania palących papierosy, wprowadziłem »Noris« udoskonalone, tem się odznaczające, że papieros zapalony nie gaśnie szybko, nie naciąga tłuszczem, i dlatego cały papieros do końca można smacznie wypalić.

W ogle zwracam uwagę na tutki białe »Noris« i kukrudziane, odznaczające się chłodnym i łagodnym dymem, nie wpływające ujemnie na zmianę smaku i zapachu tytoniu i to jest ich bardzo wysoką zaletą, że nie drażnią krtani i nie pobudzają wskutek tego do kaszlu.

Liczne uznania jakie ciągle odbieram, są najlepszym dowodem niepospolitej jakości moich wyrobów.

Do nabycia w handlach i trafikach.

Wyłączny skład na Lwów i wschodnią Galicyę: w składzie osobliwszych gatunków tytoni i cygar, ulica Karola Ludwika.

14

Z wysokiem poważaniem

Wł. Bełdowski, mag. farmacyi i chemik.

PP. Kupcom i Cukiernikom polecam worki papierowe i pudełka na cukry po cenach bardzo niskich.

Z drukarni i stereotypii A. Koziańskiego w Krakowie. Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: **Kazimierz Ehrenberg.**